

Zatrzymanie

Ktoś musiał fałszywie oskarżyć Józefa K., bo przecież on nic złego nie zrobił, a został pewnego ranka pozbawiony wolności. Kucharka od pani Grobosch, wynajmującej mu pokój, przynosiła dla niego śniadanie dzień w dzień koło ósmej, jednak tym razem nie przysłała. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie unosząc głowy z poduszki, zaczekał, po chwili zobaczył, że stara kobieta, która mieszka naprzeciwko, obserwuje go z niezwykłą jak na siebie ciekawością, a wtedy, dotknięty i głodny, pociągnął za dzwonek. Zaraz usłyszał pukanie, po czym wszedł ktoś, kogo nigdy wcześniej w tym mieszkaniu nie widział. Szczupły, ale dobrze zbudowany mężczyzna miał na sobie ciasny czarny strój, który za sprawą różnych kieszonek, zakładek, guzików, klamerek i paska przypominał ubranie podróżne i wyglądał na bardzo praktyczny, choć nie było jasne, do czego służy.

– Kim pan jest? – zapytał K. i uniół się w pościeli. Ale mężczyzna puścił to mimo uszu, jakby należało się zgodzić na jego widok, i spytał tylko:

– Pan dzwonił?

– Niech Anna przyniesie mi śniadanie – odparł K. i zamilkł, próbując na razie zebrać myśli i ustalić, kim tamten właściwie jest. Ale nie badał go spojrzeniem długo, bo mężczyzna uchylił drzwi i zwrócił się do kogoś, kto widocznie stał blisko w sąsiednim pokoju:

– On chce, żeby Anna przyniosła mu śniadanie.

Lekki śmiech za drzwiami zabrzmiał tak, że nie było pewne, czy nie bierze w tym udziału kilka osób. Nieznajomy, choć nic się nowego nie dowiedział, oznajmił K. tonem meldunku:

– To nie będzie możliwe.

– Ciekawe. – K. wyskoczył z łóżka i szybko włożył spodnie.

– Chcę zobaczyć, co to za ludzie za drzwiami i jak mi pani Grobosch wytłumaczy zakłócanie mojego spokoju. – Pomyślał, że to niepotrzebne słowa i że przez nie, choć nie są teraz najważniejsze, częściowo przyznał mężczyźnie prawo nadzoru. Nieznajomy tak właśnie go zrozumiał, skoro spytał:

– Nie zechce pan tu zostać?

– Nie zechcę zostać i nie chcę, żeby pan do mnie mówił, nie przedstawiwszy się.

– To było z życzliwości – odpowiedział nieznajomy i sam otworzył drzwi. Sąsiedni pokój, dokąd K. wszedł wolniej, niżby chciał, pokój bawialny pani Grobosch, ze swoim natłokiem mebli, fotografii, narzut, obrusów i przedmiotów z porcelany, na pierwszy rzut oka wyglądał niemal tak samo jak wieczorem poprzedniego dnia. Wydawał się może trochę przestronniejszy, ale trudno to było w pierwszej chwili ocenić, zwłaszcza że główna zmiana polegała na obecności jakiegoś mężczyzny, który siedział z książką przy otwartym oknie i właśnie podniósł oczy.

– Miał pan zostać u siebie! Franciszek nie powiedział?

– A panowie w jakiej sprawie? – K. obrzucił wzrokiem rzeczowego Franciszka, ciągle stojącego w progu, a potem jeszcze raz się przyjrzał nowemu znajomemu. Znowu było widać naprzeciwno tę kobietę, bo z istic starczą ciekawością przeszła tymczasem do sąsiedniego okna, chcąc wszystko dalej obserwować.

– Chcę, żeby pani Grobosch... – powiedział i jakby wyrывая się oddalonym od niego mężczyznom, ruszył do kolejnych drzwi.

– Nie. – Ten przy oknie rzucił książkę na jeden ze stolików i wstał. – Pan nie może stąd wyjść, przecież jest pan zatrzymany.

– Na to wygląda – odparł K. i po chwili spytał: – A dlaczego?

– Nie jesteśmy od mówienia panu takich rzeczy. Proszę iść do swojego pokoju i czekać. Wdrożono postępowanie, i tyle, wszystkiego dowie się pan we właściwym czasie. Przekraczam swoje uprawnienia, kiedy mówię do pana po dobremu. Ale mam nadzieję, że tego nikt nie słyszy prócz Franciszka, a on też jest dla pana uprzejmy, wbrew przepisom. Jeżeli dalej będzie pan miał takie szczęście jak do wyznaczonych sobie strażników, to może pan być spokojny.

K. chciał usiąść, ale nagle zauważył, że w całym pokoju nie byłoby na czym, jeżeli nie liczyć krzesła przy oknie.

– Jeszcze się pan przekona, ile w tym wszystkim prawdy – powiedział Franciszek i w tej samej chwili obaj podeszli do K. Znacznie go przewyższali wzrostem, zwłaszcza ten drugi mężczyzna, który co chwila klepał K. po ramieniu. Dotykali jego nocnej koszuli, mówiąc, że teraz będzie musiał włożyć koszulę znacznie gorszą, ale że tę z całą resztą bielizny obaj przechowają i zwrócą, gdyby sprawa rozstrzygnęła się pomyślnie: – Lepiej niech pan to wszystko odda nam zamiast w depozyt, bo w depozycie często dochodzi do przywłaszczeń, a z czasem rzeczy są sprzedawane bez względu na to, czy odnośne postępowanie się skończyło, czy nie. A ileż takie procesy trwają, zwłaszcza ostatnio! Owszem, w końcu dostałby pan z depozytu utarg, jednak, po pierwsze, i tak byłby mały, bo przy sprzedaży decyduje kwota nie oferty, ale łapówki, a po drugie, jak wiemy z doświadczenia, takie utargi jeszcze maleją, kiedy z roku na rok przechodzą z ręki do ręki.

Nie słuchał tego zbyt uważnie, mniej mu zależało na rozporządaniu rzeczami, do czego pewnie zachował jeszcze prawo, bardziej natomiast na wyświetleniu własnej sytuacji, ale przy tych dwóch nie mógł się ani przez chwilę zastanowić; ten drugi strażnik – bo to mogli być tylko strażnicy – co chwila trącał go po przyjacielsku brzuchem, a kiedy K. podnosił wzrok, dostrzegał niepasującą do grubego ciała kościstą i chudą twarz o wydatnym, skrzywionym nosie, twarz, która ponad jego głową porozumie-

wała się z drugim strażnikiem. Co to za ludzie? Co oni mówią? Jakie reprezentują organa? Przecież K. żyje w praworządnym państwie, wszędzie panuje pokój, wszelkie ustawy pozostają w mocy, kto śmie go nachodzić we własnym mieszkaniu? Nigdy nie był skłonny do zamartwiania się, nie wierzył w najgorsze aż do chwili jego nadejścia i lekceważąc niebezpieczeństwa, nie dbał o przyszłość. Ale uznał, że teraz byłoby to błędem; owszem, kole-dzy z banku mogli mu dzisiaj z jakichś powodów, choćby z okazji trzydziestych urodzin, zrobić żart, prostacki żart, niewykluczo-ne oczywiście, i może wystarczy, żeby roześmiał się strażnikom w twarz, a oni też obróćą wszystko w śmiech, może to są ludzie na posyłki najęci z ulicy, trochę tak nawet wyglądają – a jednak już na widok strażnika Franciszka postanowił, że wobec tych dwóch nie wypuści z ręki nawet najmniejszego z możliwych atutów. Choć nie bardzo się przejął groźbą, że ktoś mu później zarzuci brak poczucia humoru, i choć nie miał zwyczaju wyciągać nauki z własnych doświadczeń, przypomniał sobie właśnie pewne skąd-inąd błahe przypadki, kiedy w odróżnieniu od przyjaciół świadomie popełniał jakąś nieostrożność, nie chcąc sobie wyobrazić jej konsekwencji, oraz jak je następnie ponosił. Nie chciał, żeby znowu tak się stało, przynajmniej tym razem, a jeżeli to komedia, zamierzał w niej też odegrać rolę. Jeszcze był wolny.

– Panowie wybaczą – powiedział i szybko przeszedł między strażnikami do swojego pokoju.

– Wydaje się niegłupi – usłyszał za plecami. W pokoju zaczął wyszarpywać szuflady biurka, wszystko leżało tam w wielkim porządku, jednak ze zdenerwowania nie mógł znaleźć akurat tych legitymacji, których szukał. Wreszcie znalazł legitymację cyklis-towską i już nawet miał pójść do strażników, ale pomyślał, że ona zbyt mało znaczy; szukał dalej, aż znalazł akt urodzenia. Kiedy wrócił do sąsiedniego pokoju, akurat otwarły się przeciwległe drzwi i chciała wejść pani Grobosch. Pojawiła się tylko na chwilę, bo na jego widok popadła w wyraźne zakłopotanie, przeprosiła i bardzo ostrożnie zamknęła drzwi. Zdążył tylko powiedzieć: